



Z walk w Karpatach.

Niemiecka artyleria w drodze do przełęczy dukielskiej.

JÓZEF GALUSZKA.

Gdy szły Legiony.

(Pułkownikowi Bogumiłowi Gałuszce).

Stary gród Piastów i Jagiellonów podniosło przeżywał chwile. Sen i marzenia wieków: stawienie z bronią w rękę czoła wrogowi ucieleśniły się... Wybiła godzina obrachunku. Zygmunt uderzył na Zmartwychpowstanie... Król, śpiący w Tatrach zbudził się, a siadłszy na koń rozkazał ostrzyć miecze swoim pancernym hufcom, bo — nadszedł czas... Poprowadzi rój srebrnych orląt na krwawe pole...

Dziś właśnie Legiony wychodzą z miasta królów, mścić hańbę i poniżenie swej Matki-Ziemi, ofiarą krwi rozkruszyć kajdany.

Cudny słoneczny dzień. Z Maryackiej wieży płynie odwieczny hejnał; spada, jakby z wysokości niebios w tętniące życiem ulice.

Wszystko biegnie w pośpiechu; mnóstwo mundurów; świecą guziki, po szablach ześlizgują się błyskawicą klaski słońca, na obnażonych bagnetach lśnią jego promienie, jak jaskrawe płomyki świec. W szarych mundurach Legioniści przeciągają małymi oddziałami na punkt zborny. Ostatnie pożegnania, błogosławieństwa matczyne, ostatnie spojrzenie na twarz ukochanych i — odmarsz...

Na balkonie jednej z kamienic, tuż koło pomnika Króla-Zwycięzcy z pod Grunwaldu, siedział bez ruchu, w głębokiem krześle mężczyzna w podeszłych już latach. Słońce, zlewając szczere złoto z zenitu, objęło promieniami swymi jego twarz surową, o nieugiętym wyrazie. Wysokie, dumne czoło, ciemne, głębokie oczy, krzaczaste brwi, nos orli i czarny jeszcze, po polsku

zakręcony wąs — wszystko to przypominało twarze z dawnych portretów hetmańskich.

Do uszu jego dolatywał gwar miasta; patrzył w dół; — ulicą, u stóp pomnika przesuwały się kolejno oddziały piechoty, szwadrony barwnej jazdy, to znów Legioniści.

Jakiś ból wykrzywił twarz jego, w zniesionych nagle oczach zamigotał, jakby wyrzut straszny, wargi poruszały się zwolna; szept cichy: Oni idą, wszyscy, wszyscy, a ja... Boże, Boże za coś mnie ukarał.

Głowa zwiła na pierś, cień brwi zakrył oczy, — wspomnienia opłoty jego skroń...

Rok 63-ci. Jako chłopak siedemnastoletni poszedł na tułaczkę po lasach i bagnach, na partyzantkę; — długie, długie miesiące.. Schwytanego, rozebrano do naga i porzucono na cmentarzu w straszliwy mróz — cudem ocalał... Polem w kazamatach, w których życie śmierci się równa; badania i droga na Sybir; — setki wiorst zmierzonych krokami w okowach na rękach; — dwa lata w kopalniach nercyńskich, wśród zbirów — potem posilenie — lata spędzone w śniegach tajgi syberyjskiej... wreszcie amnestya, powrót do kraju, nadzieje krwawej pomsty — w końcu walka o chleb, karyera wojskowa, — mundur austriackiego pułkownika — dziś przekłeta choroba...

Przez całe dziesiątki lat szeptał mu jakiś głos, że do-czeka godziny zemsty; głos ten nieodstępny chodził wśród dnia za nim jak cień i nocą kładł się w jego wezgłowiu.

Jako młody porucznik myślał, że już nadeszła chwila, w której będzie mógł nasycić pragnienie krwią wroga: częściowa mobilizacja przeciw Rosji; — oczy śmiały się i ręka uderzała w głowię szablicy... roz-wiało się wszystko, jak dym... Przyszdeł rok 1911. — Horyzont zaciemniał się, znowu odżyła nadzieja; wol-



Trzypiętrowa budowla obserwacyjna wojsk szwajcarskich tuż na granicy.

ny już od służby, pełen jeszcze sił i ducha, mógł poprowadzić polskie szeregi przeciw odwiecznym wrogom. — I to minęło.

Wreszcie dziś uderzyła godzina Zmartwychwstania; doczekał się jej, ale jako zniedołężniały, sparaliżowany, bez ruchu starzec.

Świadomość bezsilny krwawiła mu serce i straszny wyrzut rósł i potężniał w nim, wznosząc ku górze myśli buntu i skargi... Marzenie całego życia, wijące się złotą nitką w szarej jego przędzy — ucieleśnia się... Legiony maszerują, Orzeł Biały na sztandarach, a on — przeklęty chyba przez Boga — w takiej chwili bezsilny, praca tylu lat daremna — bezsilny, bezpożyteczny...

Smutek bezgraniczny usiadł na jego twarzy, głowa schyliła się jeszcze niżej. Przez uchylone drzwi, z wnętrza pokoju dolatywały do jego uszu oderwane słowa. — To jego wnuk, czytał siostrzyczce „Pana Wołodyjowskiego“.

Śluchał uważniej słów, chwycił całe zdania, wmyślał się w nie; gwar uliczny zcichł trochę, teraz słyszał już dokładnie czysty głos wnuka:

„Dzwony biły, u wielkiego ołtarza kończyła się msza... tymczasem zaś wyszedł na ambonę ksiądz Kamiński... z ambony ozwało się warczenie bębna... ksiądz bił w bęben, jak na trwogę — nagle przerwał — nastąpiła cisza śmiertelna... potem warczenie ozwało się po raz drugi i trzeci; ksiądz Kamiński cisnął palec na podłogę kościelną, podniósł ręce do góry i zawołał: Panie Pułkowniku!... Dla Boga, larum grają! woj-

na! nieprzyjaciel w granicach, a ty się nie zrywasz? Szabli nie chwytasz? Na koń nie siadasz?...”

Pioruny błysły w oczach starca, wyprostował się nagle, głowę unosił w górę, przez myśl przebiegały huraganem myśli, w piersi zakotłowało; czoło opromienione blaskami słońca zdało się królewskiem... — Do szabli na koń! — szarpnął ruchem ciała prawą rękę — zsunęła się bezwładnie z poręczy krzesła, bezsilna, nabrzmiła... chciał się zerwać i opadł znów ciężarem ciała w głąb krzesła...

Wnuk czytał dalej: „Co się stało z tobą żołnierzu? Zaliś swej dawnej zapomniał cnoty...?”

Piersią zatargał jakiś szloch straszny i z rżęs spadły dwie ogromne, ostre jak żwir, łzy — sączyły się powoli przez surowe lica, które też nigdy nie znały, na których twarde życie wyrzeźbiło nieugiętą wolę...

Głos z pokoju brzmiał dalej, ale on już słów nie rozróżniał; coś szarpało go za pierś, ścisnęło gardło...

„Co się stało z tobą żołnierzu“ — brzmiało mu w uszach, a w odpowiedzi na to jedno tylko łzy... palące łzy...

Sklonił głowę, obawiając się może, by nawet słońce tych łez nie spostrzegło.

Od bramy Floryańskiej wypelza szary wygięty wąż — Odmarsz legionów ..

— Bohdan — zawołał pułkownik.

Na balkon wbiegł może trzynastoletni, o czarnych oczach chłopak w skautowskim mundurze.

— Patrz, idą już...

Szeregi stanęły u stóp pomnika. Ołbrzymia pieśń, jakby ostatnia przysięga wzniosła się z setek piersi:

Nie rzucim ziemi, skąd nasz ród,
nie damy pogrześć mowy...

Pieśń rosla, jak fale potopu, wzdierała się coraz wyżej i wyżej, a wśród niej stał na zrywającym się do boju rumaku Król-Pogromca, z obliczem pewnym i dumnym, patrząc na potomków swych rycerzy, idących szlakiem praocjów w krwawy, święty bój...



Z walk w Karpatach.

Dekorowanie odznaczonego strzelca tyrolskiego.

Tak, jak ten granitowy król, wyglądać chyba musi wódz śpiących rycerzy w Tatrach...

Pułkownik patrzył na twarz wnuka, po chwili rzekł: — Bohdanie, czemuś ty taki młody? czemu iść z nimi nie możesz? Nikogo z nas tam nie będzie...

Nagle jakaś myśl, postanowienie błysło w jego oczach i mówił:

— Bohdanie, ty moja krew, przysięgniesz mi dziś, wobec tych odchodzących i króla-bohatera, że zawsze żył będziesz myślą Ojczyzny, dla niej pracował do dni ostatnich — dla niej, rozumiesz — dla niej, do bólu, do krwi. A kiedy znowu wybijie godzina, pójdziesz jak oni w krwawe pole — płacić dług, bo nie ostatni ci, co dziś odchodzą...

Lica chłopaka pobladły jak karta, snać zrozumiał wielkość chwili; w oczach załśniły łzy i głosem drżącym ze wzruszenia wyrzekł:

— Przysięgam — dziadziu.

W dali nikły szeregi Legionów.

Hof, w maju 1915.

PIOTR DUTKOWSKI.

„Myśli wychodźcy“.

Cicha, pogodna noc.

Powoli płynie księżyc po ciemno-granat. błękitcie.

Szarą, krasą koronką padł cień gałęzi i listowia młodego na jasną, gładką ścieżkę alei.

Siedząc poddajemy się myślom chwili, grzebiemy w wspomnieniach...

A one bezustannie płyną tęsknotą, sama przeszłość wskrzesza się wskrzesza bez końca.

Błado świeci księżyc, płynie od wschodu, obojętny!



Turecki pospolitak na warcie.



Arcyks. Franciszek Salwator w rezerwowym szpitalu w Meranie (Tyrol).

Po setny raz patrzył na zgłiszcza i groby, na krwawy plon przedługich zniw... Lecz my się o tem, co widział nie dowiemy, a jeśli — to kiedy?

Inaczej można śnie przy jego blaskach, ale nie nam...

Trudno! Los tajemniejszą, jak zwykle, stał się zagadką.

Czas płynie krwią, śmiercią, pochłania ofiary i bezpowrotnie je zabiera.

Ludzkość cierpi w brutalnym lęku śmierci, upada z wyczerpania błagalnych modlitw tarza się we krwi własnej przed tym, który ma jeden moc na nią.

Cicha, pogodna noc.

Gdyby tak znaleźć się o tej porze przy matce w swoim domku maleńkim. Za skromnym płotem, odgradzającym małe podwórko od drogi drzemie chałka, bieli się jasną plamą na tle niezamąconej ciszy. W niej pozostała chora matka wyczerpana ustawiczną nadzieją, znękana czekaniem. Pewnie się bardzo postarzała, a może nawet...

Nie tak myśleć nie można, choć straszne przypuszczenia przychodzą na myśl i bolą... Gasną wspomnienia, zostaje pusty smutek.

Ci. ha pogodna noc, a jaki dzień jutrzejszy będzie?

Wcześniej wstanie słońce, będzie robiono swoje...

Obejmie ziemię jasnością i ciepłem, w każdym choćby najdrobniejszym tworze zamknie tajemnicę powabu, miłości życia...

Wcześniej wstanie i przykładem pracy twórczej Stworzyciela wszechzycia zaniesie odwieczny protest...

Wcześniej wstanie, przeniknie nieznanymi drogami tajne głębie duszy męczonę i orzeźwi ją nadzieją lepszej przyszłości.

Bielsko, w kwietniu 1914,



Jak wygodnie urządzają sobie Niemcy we Francji swe schroniska podziemne w rowach strzeleckich. Okna są nawet dla wygodny zaopatrzone żaluzjami



Na pokładzie angielskiego poszukiwacza min. Załoga przybrana dla bezpieczeństwa w pasy ratunkowe, strzela do wolno płynących min, aby zmusić je do wybuchu.

1793.

U margrabiego de Loire, który jest jednym z moich przyjaciół bez najmniejszej kwestji przy wejściu najbardziej cię uderza wysoki ton, w jakim cały dom jest trzymany, milczenie służby, pospiech lokajów uprzedzający, a wreszcie, co do rzeczy już dziwnych należy, wszyscy służący od pierwszego do ostatniego mają twarze do siebie podobne.

Wstyd mi się przyznać, ale pomimo, iż jestem obserwatorem, spostrzeżenie to uczyniłem dopiero wczoraj podczas śniadania. Jeden służący wchodził i wychodził, następnie inny, a mógłbyś przysiąc, że to ten sam, gdyby pewne szczegóły w liberyi, różnica nie wielka w postawie nie przekonywały mnie, że jest przeciwnie.

-- Ach doprawdy, jakiegokolwiek imię pan wymieni, — rzekłem wreszcie, — ta sama twarz przy stole się pojawia i gdyby nie widziano ich razem, można byłoby przysiąc, że pański lokaj jest pańskim kamerdynerem, albo też woźnicą. — Margrabia uśmiechnął się i odparł:

— Mój przyjacielu, w usługach u mnie znajdują się sami bracia lub kuzynowie. Wszyscy moi służący noszą to samo nazwisko: Ledru, a są u nas od lat stu z górą. Przywiązani do nas, tak jak ja jestem przywiązany do nich. Pozostałość z czasów feudalnych powiedziałałbyś może, ale ja nie idę tak daleko. Pomiędzy mną, a moimi ludźmi istnieją związki święte ich pradziadek zabił mego!

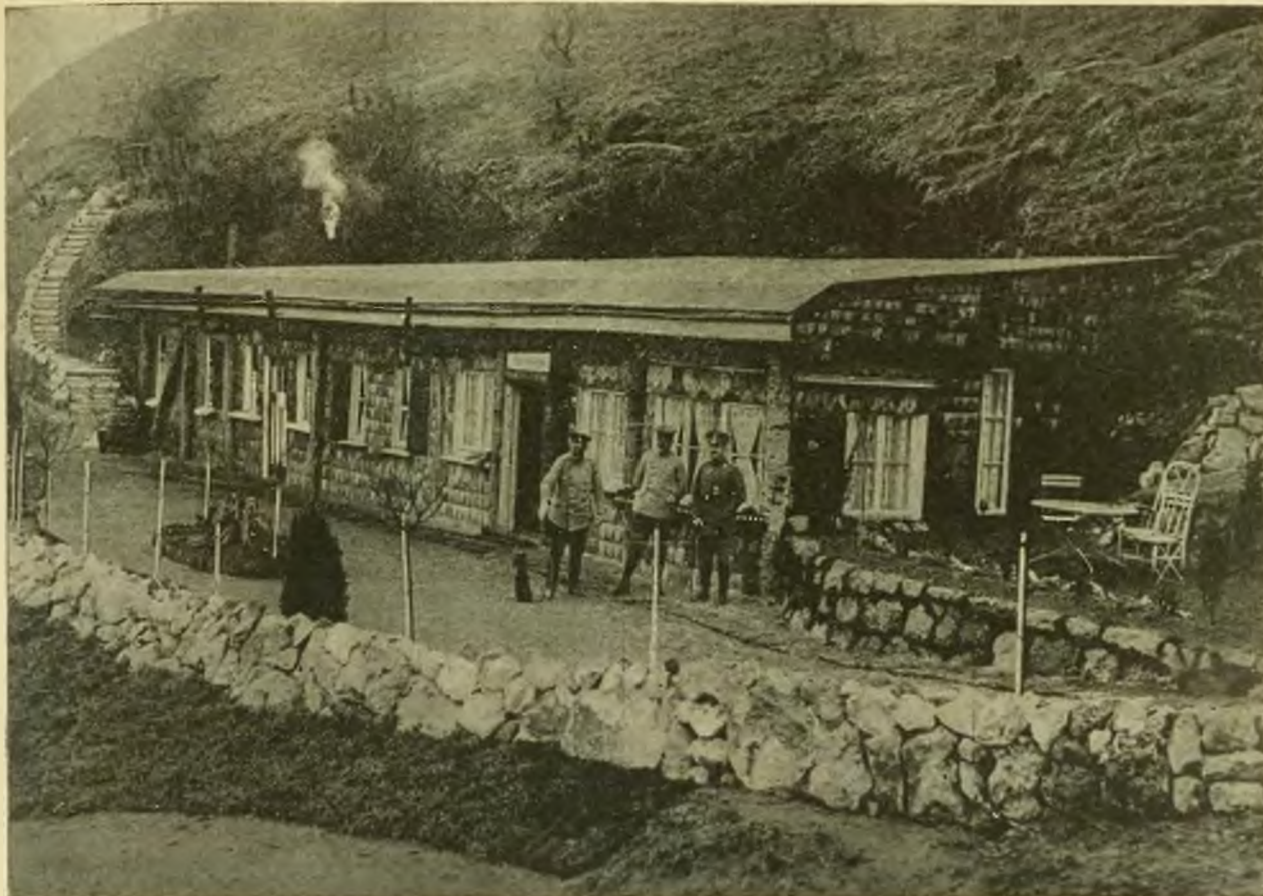
Nie należę do takich, którzyby się dziwili lada czemu, tym razem jednak zaciekawienie moje łatwo można było potrzedz. Gospodarz mój tymczasem mówił dalej:

— To cały dramat, który obecnie sto lat już liczy. Dam panu w tej chwili opis jego, zachowany w naszych pamiętnikach rodzinnych.

W godzinę po tem margrabia de Loire wyjmował z biórka pęk pożółkłych papierów, które przewracał ręką drżącą cokolwiek, wybrał z pomiędzy nich pięć czy sześć kartek i podał mi je. Przeczytałem, a zapisane na pożółkłych kartkach wspomnienia powtarzam o ile możności najwierniej.

W czasach terroryzmu, Franciszek Henryk margrabia de Loire, poufały dworu królewskiego, był bardziej niż ktokolwiek skompromitowany. Zona jego i syn opuścili Paryż i Francję, skoro tylko fatalne godziny nadchodzić zaczęły, on wszakże nie uważał za możliwe ratować się ucieczką. Chciał podzielić wspólne przeznaczenie przedstawicieli wielkich rodów i próbować, czy się nie uda uwolnić króla. Należał do wszystkich spisów, przewodniczył sekretnym zebraniom, na których omawiano najszlachetniejsze niepodobieństwa.

Aby mógł być czynnym, musiał się ukrywać. Lokaj jego, Ledru, ofiarował mu schronienie u ojca swego, stolarza, zamieszkałego w okolicach Temple. Margrabia przyjął je natychmiast, zadowolony z sąsiedztwa, którego bliskość wyzyskać pragnął przy nadarzonej okazji. W przebraniu robotnika, mieszkał tam całe miesiące, wychodząc tylko w nocy. Słyszał jak wykrzykiwano nazwiska jego przyjaciół, prowadzonych na szafot, książąt, margrabiów, hrabiów, młodych i starych, piękniejsze nadzieje na przyszłość lub wspomnienia przeszłości. Bez króla życie nie miało dla niego żadnej wartości i najchętniej umarłoby w dobranem to-



Jak wygodnie urządzają sobie Niemcy we Francji swe schroniska poza frontem. Wybudowali sobie oni tu zupełnie porządný domek z materiałów zebranych w sąsiedztwie.

warzystwie. Ale jedne po drugich wszystkie sprzysiężenia rojalistowskie nie udawały się jakoś. Każdego poranka, ktoś wierny, ktoś mężny był poznawany, areztowany, skazywany, rzućany do katowskiego wózka i gilotynowany. Z trzystu spiskowców, którzy zawiazali sprzysiężenie, pozostawało zaledwie trzydziestu.

Nareszcie, pewnego wieczora ogłoszono, iż śmierć króla nastąpić ma nazajutrz. Wszystko było skończone. Nie można go było ocalić, należało iść za nim.

Dnia 21-go stycznia, pomimo prośb gospodarzy swoich, margrabia wyszedł o świcie. Wiedział, jak spadała głowa króla Francji. Niestety, on żył jeszcze!

Kiedy powrócił do domu wieczorem, zawołał Ledru.

— Mój drogi — powiedział do niego, zdejmując czapkę robotnika, — król umarł; widziałem jak go zamordowano. Nic już nie przywiązuje mnie do życia. Margrabia i mój syn obejdą się bezemnie. Słuchaj, w chwili tak potwornej, w której lud ścina głowę swemu królowi. Nie wiem, jakim sposobem nie zostałem poznany, śledzono za mną, a jutro nastąpi moja kolej.

Zatrzymał się, odetchnął głęboko a potem dodał:

— Ledru, wiem, że jesteś przywiązany do mnie, przysięgnij więc, że ostatniemu memu rozkazowi będziesz posłuszny. Przysięgłeś? To dobrze.

A następnie, drżąc ze wstępu, dodał jeszcze:

— Ta ich nowa maszyna, gilotyna, jest haniebną, szkaradną, nie chcę umierać przy jej pomocy. Nie chcę dać tej satyfakcji tłumowi... Jeżeli zostaną schwyłani i zaprowadzony na szafot, ty będziesz pilnował mego wozu u samych drzwi więzienia, podczas drogi. — uważaj tylko dobrze, — powiem pospólstwu, co o niem myślę; będzie to dla mnie miłem; ty wtedy udasz wielki

gniew republikański, wpadniesz we wściekłość, zbliżysz się do konwoju, prowadzącego mnie, wymierzysz mi prosto w serce. Prawda?

— Przysięgam, panie margrabio, — odpowiedział lokaj płacząc, — ale Boże zachowaj nas od podobnego nieszczęścia.

Nazajutrz margrabiego de Loire zaareztowano, a w kilka dni później Ledru słyszał, jak wywoływano w rzędzie ofiar najbliższego dnia nazwiska jego pana.

Starannie nabił pistolet, a po tem w nocę udał się pod mury Conciengerie. Rankiem wczesnym ukazały się wozy ze skazanymi, jeden, drugi, trzeci, a po tem inne, któremi wszakże Ledru już się nie zajmował. W trzecim zobaczył margrabiego ze skrepowanemi rękami, obnażoną szyją, który w pośród tłumu zdawał się szukać kogoś. Ledru, krzycząc głośniejsz od innych „obywateli“, rzucił się ku pokrwawionemu wehikułowi. Margrabia zobaczył to i podziękował mu uśmiechem.

Orszak postępował naprzód, w pośród posmiewisk gwizdań i złorzeczeń, Ledru był głośniejszy od innych. Nareszcie margrabia wyprostowawszy się, odpowiedział pijanemu wściekłością tłumowi:

— Bandyci, łajdacy, zbrodniarze, bydlę!

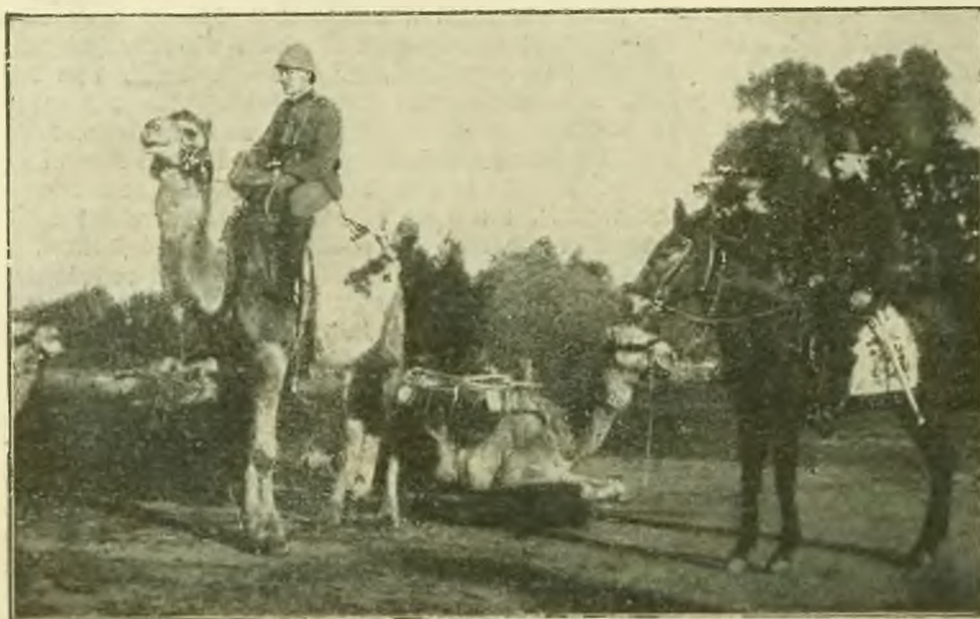
Odpowiedziały mu krzyki silniejsze niż dotąd i nagle jeden z patriotów, nie mogąc snadź powstrzymywać się dłużej, zbliżył się do wozu i przyłożywszy do piersi margrabiego pistolet, wystrzelił. Wybuch radości piekielnej powitał tę natychmiastową zemstę, to arcydzieło morderstwa, podczas gdy zbrodniarz, rzucając broń swoją, krył się w tłumie, z rozwianym włosami, ledwo się mogąc utrzymać na nogach, z oczami obłąkanemi, pogrążony w niewypowiedzianej rozpacz.



Zołnierz tureckiego pospolitego ruszenia przewozi prowianty przez śnieżne szczyty gór Taunus.

Drobne wiadomości.

Strata czy zysk? Fantazując na temat przyszłego ustroju Królestwa Polskiego, znany polityk rosyjski Kobyliński, członek Rady Państwa, w rozmowie z jednym z dziennikarzy oświadczył, że Królestwo zostanie oddzielone od Rosji granicą celną, jak w latach 1815—1838. Wobec utartego mniemania, że kordon taki stałby się zabójczym dla przemysłu w Królestwie, wysyłającego swe wyroby na wschód rosyjski, tygodnik warszawski „Świt” podjął wśród wybitnych ekonomistów i przemysłowców ankietę dla wyświeślenia tej kwestyi. W ankiecie, ogłoszonej w dwóch numerach „Świata”, wzięło udział dwudziestu kilku rzeczoznawców i jednogłośnie oświadczyli wszyscy, iż suma korzyści, wypływających z oddzielenia granicą celną Królestwa od Rosyi, przeważałaby znacznie sumę strat. Tylko Łódź, która stoi eksportem do Rosyi, poniosłaby



Oficer turecki na wielbłądzie nad kanałem Suezkim w czasie odpoczynku południowego

straty absolutne, jakkolwiek okazało się, że i ten eksport nie cały spoczywa na zdrowych podstawach, gdyż pomimo, iż przemysł włóknisty Łódzki pracuje na wywóz do Rosyi, to jedną trzecią swego zapotrzebowania w tej dziedzinie Królestwo zaspokaja — w Moskwie. Ankieta „Świata” wykazała, iż Królestwo zniosłoby bardzo dobrze granicą celną od wschodu.

Z pobytu Rosyan w Tarnowie. W Tarnowie, koło dworca, mieści się rafinerya spirytusu i likierów Schwamenfelda.

Do tej rafineryi przyszedł komendant rosyjski i nakazał wylać wszystkie trunki z wyjątkiem wina, które zdeponowano w magistracie. Rozkaz w mig wypełniono, całe hektolitry spirytusu wlewano do pobliskiej fosy.

Po jakimś czasie przyjechał na spienionym koniu oficer na czele oddziału kozackiego na kontrolę, czy wylewanie spirytusu odbywa się w porządku.

Niszczono więc wspólnie z robotnikami rafineryi wódkę, likier, aż w końcu natrafili na miód.

Oficer zapytał:

— Czo to takoję?

— Miód — odpowiedział ktoś z otoczenia rafineryi.

— Można-li etim miedom upitsia?

— Właśnie na miodzie najwięcej można się upić!

— Snielo bratcy rozbiwał? — krzyknął ataman groźne.

Brzęk tłuczonych butelek przez kozaków, dzikie pomruki, przy jakimś dziwnym na pół zwierzęcym wyrazie twarzy — składał się na iście barbarzyński obraz.

Bystry obserwator tego niezwykłego „urzędowania” mógł zauważyć jak ten i ów kozak od czasu do czasu

— najczęściej, gdy widział, że oko argusowe atamana nie strzeże go! — z olbrzymim zamachem zamierzał się flaszką, ale nie uderzał ją już o ziemię, lecz łagodnie stawiał na uboczu.

W ten sposób kozacy mnóstwo flaszek z miodem zabrali ze sobą.

Mi nowowania w legionach.

JE. Durski w prośbie do N. K. A. przedstawił do zamianowania:

1) Pułkownikiem z odznakami VI rangi podpułk. Hallera de Hallenburg Józefa.

2) Podpułkownikiem z odznakami VII rangi majora Żegotę-Januszalską Maryana.

3) Podpułkownikiem z odzn. VII. rangi majora Roję Bolesława.

4) Majorami z odznakami VIII rangi dotychczas. kapitanów

Minkiewiczza Henryka, Korscha Napoleona i Leonhardta Alfreda.

Kapitanami z odznakami IX rangi poruczn. Tarkowskiego Zygmunta i Zająca Józefa.

Odmowna odpowiedź w sprawie nauki religii w języku polskim Czytamy w „Kuryerze Poznańskim”: Ojcowie rodzin w Gnieźnie wystali do ministra petycję o zaprowadzenie języka polskiego w nauce religii w katolickiej szkole ludowej, na co nadeszła odpowiedź odmowna. Oto brzmienie odpowiedzi:

W szkołach katolickich miasta Gniezna nauka religii na stopniu najniższym odbywa się w języku polskim, natomiast na stopniu średnim i wyższym, na mocy rozporządzenia naczelnego prezesa z 27 października 1873 zaprowadzono naukę religii po niemiecku.

Zmiana obecnego stanu rzeczy pociągałaby za sobą konieczność albo zniesienia albo zmiany rozporządzenia naczelnego prezesa, a to już dlatego samego nie może nastąpić, ponieważ stan wojenny, jako taki nie może służyć jako powód do zmian stosunków, które przed wojną już od lat kilkudziesięciu istniały.

Ewakuacja Krakowa. Jak wiadomo wydaje się wszystkim, którzy mają pozostać w Krakowie blaszki legitymacyjne. W sprawie tej pisze jeden z krakowskich dzienników:

Blaszki legitymacyjne będą, jak wiadomo w przyszłym tygodniu wydawane osobom, które uzyskały pozwolenie na pobyt w Krakowie. Blaszki te nie odznaczają się wcale gustem i przypominają poniekąd marki, zawieszane u obroży czworonożnych przyjaciół człowieka. Przyszły historyk ewakuacji krakowskiej zanotować winien słowa, jakie padły onegdaj na rynku z ust chłopaczka, ucznia III klasy gimnazjalnej. Rzeczony chłopaczek zaatakowany został przez znanego i sympatycznego boksika japońskiego „Nygusia”, którego szczęśliwym i dumnym posiadaczem jest pewien znany poeta narodowy. Chłopaczek spojrział z pogardą na ujadającego czworonoga i odezwał się:

— Poczekaj ty! Za kilka dni i ja otrzymam blaszkę, to się z tobą porachuje.

Przyszły prezydent Warszawy. Korespondent warszawski piotrogrodzkiej „Rieczy” donosi, że według powszechnego mniemania pierwszym prezydentem samorządnej Warszawy wybrany zostanie hr. Józef Potocki z Antonin na Wołyniu, prezes Towarzystwa przyjaciół nauk w Warszawie. Ostatnim prezydentem Warszawy był w r. 1863 Zygmunt Wielopolski, syn Aleksandra.



Z walk w Karpatach.

Paniczna ucieczka Rosyan w jednej z dolin karpackich.

O spustoszeniu w Rawie donosi „Lodzer Tageblatt”: Polowa miasta zniszczona. Zburzone kościoły katolickie, zbór ewangelicki oraz synagoga. Dla utrzymania porządku zorganizowano milicję obywatelską, utrzymywaną z pobieranych na ten cel opłat. Podczas bombardowania zginęło w Rawie i okolicy 100 osób cywilnych.

Znamienny fakt. „Gazeta Podhalańska” donosi z pow. grybowskiego, że do poboru popisowych zgłosili się dobrowolnie nawet ci włościanie, którzy są za linią bojową pod chwilowym zalewem rosyjskim. Przeszli oni linię bojową, aby walczyć w szeregach austriackich przeciw wrogowi.



Z walk w Serbii.

Austriacka piechota stacza krwawe walki z ludnością serbską w jednym z pogranicznych miast. W walce biorą udział po stronie serbskiej kobiety i małe dzieci.

(19) **Męczennica.**

(Powieść oryginalna).

— Na nic się krzyk nie przyda, ręką zamknę ci usta. Zresztą czegoś chcesz krzyczeć, czyli cię krzywdzę może? jedziesz ze mną, bo cię kocham.

— O, jak ja się dała jego słowom uwieść. Puść mnie, miej litość nademną.

Zamilkła osłabiona i skłoniła na piersi głowę.

Hrabia Achilles, który jechał z woźnicą na koźle zapukał palcem w powozową szybę i pytał Artura:

— Czy Dulcynea zasnęła, że milczy?

— Nie panie — odpowiedział z beczelnym spokojem młodzik — namyśla się zapewne, co mówić. Mam nadzieję, zda się na wolę wypadków i przyjdzie do przekonania, że jej nikt nie zrobił krzywdy.

Maryja słyszała. Trzęsła się jak w febrze od wzruszenia. Chwytała się rękami za szumiącą głowę, a łzy jak groch spływały po jej licach, gorące i gorzkie.

*

Powóz jechał. Przejechał rynek, Grodzką ulicę i Stradom, zakręcił w wązki zaułek i stanął.

Dom Kukiewiczza był stacją.

Artur wysadzał Maryję, wzbraniała się. Pomógł Kukiewicz i wniósł ją do pokoju, posadził na krześle i zamknął drzwi za nią.

Słyszała klucz obracający się w zamku; po tem ucichło.

Nastąpiła katastrofa, którą już znamy. Achilles zapłacił Kukiewiczowi. Ten trzymał Maryję pod kluczem u siebie, póki ją nie przeniesiono do najętego na Podgórzu mieszkania.

Tam mieszkała cztery lata strzeżona przez najęte sługi. Artur odwiedzał ją co dnia.

XXI.

— Dzień dobry ci Samsonie! — zbudził Jacenty przyjaciela.

Samson przewrócił się na łóżku i ziewał.

— Już czwarta minęła — przemówił dalej Jacenty — a ty leżysz śpiochu.

— Późno zasnąłem — odrzekł Samson, podnosząc się niechętnie z łóżka — apetytu nie mam od jakiegoś czasu i sen odemnie ucieka. Pierwej miał człowiek zdrowy apetyt i spał jak niedźwiedź przez zimę.

— Ale wiesz, że i dzisiaj mi się znowu ona śniła. Było wszystko, jakby na jakwie. Może dochodziło południe. Ona posprzątała w pokoju, dała jeść ptakom, chciała się zamieść, ale już pierwej zamiotłem, chciała wody przynieść, ale już pierwej przyniosłem, narąbałem drzewa i poznosiłem do kuchni, pomyłem naczynia i porozwieszałem na gwoździach, wszystko było — powiadam w największym porządku.

Zalował biedaczysko, że sen nie był rzeczywistością. Samson i Jacek zamilkli. W sąsiednim pokoiku zbudziła się Maryja. Uczesała włosy, umyła się, ubrała, posłała łóżko, zamiotła, szczygłom i czyzom w klatce nalala świeżej wody.

Skończywszy zatrudnienie, otworzyła drzwi pokoiku, weszła i stanęła między Samsonem i Jacentym.

— Dzień dobry wam przyjaciele! — powiedziała, podając obydwoim ręce, potem zwracając mowę do Samsona, spytała z uśmiechem:

— Trzeba się zabrać do pracy, co dzisiaj będzie do robienia w ogrodzie?

— Tam już jest zrobione wszystko!

— Nie jest wszystko zrobione — zaprzeczyła Maryja — nie jest posiana pietruszka i grządka na groch nie skopana jeszcze.

— I grządkę skopię i posieję pietruszkę; do wieczora już będzie gotowe.

Samson podniósł oczy od ziemi i prosił Maryję spojrzeniem, aby się nie napierała pracy.

Ona westchnęła głęboko i zasepiło się jej czoło. Czułość olbrzyma zbudziła w jej duszy smutne przypomnienie przeszłości.

— Wy wielką przykrość sprawiacie waszą dobrocią, przyjacielu! Przedtem tyle się nademną naznęcałi ludzie, w takim bylam ponizeniu i poniewierce, tak mnie okrutnie krzywdzono, że dziś się lękam serdeczności.

— Czemuście do mnie nie przyszli po pomoc! — wykrzyknął Samson, jabym was był przed złą napaścią obronił.

— O, ja ci wierzę, żebyś to był uczynił — przerwał pogróżki gniewnego przyjaciela Jacenty, a zwracając się do Maryi i chwytając jej rękę, mówił wzruszony do głębi:

— Pojmuję boleść, która was przejmuje na wspomnienie przeszłości, ale ta już dawno minęła, a terażniejszość jest inna, spokojna i cicha, więc już byłby czas o przeszłości zapomnieć!

— Zapomnieć nie mogę! — odpowiedziała Maryja, zalewając się gęstymi łzami, a dwaj przyjaciele uszanowali boleść cierpiącej kobiety milczeniem.

XXII.

Od dnia, gdy Maryja stała się towarzyszką Samsona i Jacka, zmieniło się życie obydwoh przyjaciół.

Jacek mniej się błakał, a przesiadywał godzinami przy boku Maryi.

Samson, który nie miał z początku zaufania do Maryi, oswoił się z nią wkrótce, później przylgnął nawet do niej, więcej się krzątał, więcej jadł i dłużej sypiał niż dawniej. Po miesiącu znowu się z nim zmieniło. Począł Maryi unikać, a radował się, gdy chwilę był przy niej, do pracy nie stracił ochoty, ale stracił sen i apetyt przechadzał się wieczorem z załamanemi rękami, zamyślał się, był smutny.

Samson zakochał się w Maryi.

Dziwna to była miłość olbrzyma! taka czysta, niewinna, kwitnąca, że nie stała w żadnym stosunku do nieokrzesanej jego powierzchowności. Marzył o kochance i śnił tylko o niej, oddychał tem powietrzem, którem ona oddychała, pielęgnował dla niej kwiaty, każdy listek jej ręką dotknięty stawał się dla niego relikwią, ślady jej stóp uświęcały ziemię; gdy był w pobliżu, był szczęśliwy.

Maryja, która się z Jackiem obchodziła jak z bratem, trzymała w oddaleniu od siebie czulego olbrzyma i rzadko tylko przemówiła do niego czulszem słowem lub przymiliła uśmiechem — odgadła, jakie na nim wywarła wrażenie!

Samson nie wiedział, co mu właściwie dolega. Myślał sobie, że chory.

Miłość znalazł dotąd tylko z nazwiska, i istotnie nie pojmował, czem ona jest właściwie.

Miłość była w jego piersiach taką, jaką mu wlała Opatrzność: instynktem, któremu braknie przeświadczenia o sobie, silnym jak każde niepojęte uczucie.

Samson chodził co niedzielę i święto do kościoła na zamek. W dnie takie uroczyste wdziawał długą granatową czamare, zapinał na wszystkie pętlę i trzymając w ręku grubą staroświecką laskę, szedł tak statecznie i poważnie, że mimo swej młodości nakłaniał ludzi powagą do ustępowania mu z drogi.

Nadszedł dzień Bożego ciała. Samson podług zwyczaju był gotów do pochodu o dziesiątej godzinie. Stanął przed

Maryą, która ani sama ani w towarzystwie nie wychodziła nigdy z domu, kiwnął ręką i żegnał ją temi słowy:

— Idę na procesję, na południe wrócę; bywaj pani zdrowa!

Maryja jakkolwiek przyzwyczajona do powierzchowności olbrzyma, uśmiechnęła się mimowolnie na powagę jego słów i ruchów, podała mu rękę, ścisnęła serdecznie i powiedziała z przyzwyczajeniem:

— Wróćcie jak można najspieszniej, będziemy czekać z obiadem i tęsknić za wami.

— Hówicie, że będziecie tęsknić za mną, a ja temu nie wierzę, tęskni się za bratem i za tym, kogo się kocha, a ja jestem dla was obcy człowiek.

— Jesteście moim wielkim dobrodziejem.

— Dobrodziejem nie jestem, bo nic dotąd nie zrobiłem dobrego, więcej niżli ja opiekuję się wami Jacek. Kto szyje, naprawia, czyści, sprząta i dogląda ogrodu. Wy wszystko robicie, wy pani pracujecie od świtu do nocy i nie dajecie się odwieść od pracy.

— Wy mi wszelką pracę wyrwacie z ręki, czynicie jak brat, jak najlepszy przyjaciel, a ja wdzięczna jestem za te starania.

— Nie zasłużyłem, abyście tak mówili! — wykrzyknął Samson w najwyższym rozczuleniu i ośmielił się przycisnąć rękę Maryi do ust rozplamionych i spoglądał na nią zarazem z wyrazem takiej głębokiej miłości, że zmieszana kobieta zdrząła pod ciepłym tego spojrzeniem.

Wtem zadzwoniły dzwony kościołów, a Samson zbudzony z zachwyty przypomniał sobie, że na niego droga czeka. Pożegnał więc jeszcze raz Maryję i wyszedł z domu wdychając.

Tym razem przypadek sprawił, że do żywszej sceny nie przyszło.

Jacenty przechodził się po sąsiednim pokoiku szero-kiemi krokami i słyszał rozmowę przyjaciela z Maryją, nie przerywał, zaparł oddech w piersiach i wyczekiwał w napięciu jej końca.

Gdy huk dzwonów wyprowadził olbrzyma z domu, odetchnął Jacek swobodniej, wyszedł do Maryi, ujął za rękę i powiedział:

— Słyszałem co Samson mówił do ciebie, chciał mówić więcej, ale mu nie daly skończyć dzwony, on się nosi z żywszym uczuciem, którem jest cały przejęty, prędeż czy później dowie się, co mu takiego, otworzą mu się oczy i w jego piersiach podniesie się burza. Gdyby był godzinę dłużej z tobą mówił, czy wiesz ty, co by on ci był dzisiaj powiedział?

— Wiem — odpowiedziała Maryja w zamyśleniu.

— Niezupelnie, nie wszystko.

— Byłby powiedział, że mnie kocha.

— To najprzód, po tem by był powiedział, że chce, abyś została jego żoną.

Maryja się zatrzęsła.

— A cóżbyś ty mu na odpowiedziała? — pytał ją Jacek.

— Odpowiedziałabym mu, że go cenię dla dobroci, pracowitości i cnoty, że żywię w sobie uczucie kochającej siostry, że miłość mnie wzrusza, że żoną jego nigdy nie będę.

— Znam Samsona od dzieciństwa prawie, długie lata mieszkamy już z sobą, przyzwyczaiłem się czytać w jego duszy. Wierzaj mi, że ten olbrzym zdolny jest kochać, jak nikt inny na świecie!

— Jestem o tem przekonana.

— Czy wiesz to, do czego miłość wzgardzona doprowadzić może?

— Do zapomnienia.

— Mówisz inaczej, niż czujesz, lzy twoje dają mi inną

odповідź. Mnieby serce pękło, gdybym miał patrzeć na rozpacz najlepszego przyjaciela!

— I mnie także! — powiedziała Maryja wzruszona i lkała.

Po tem milczeli oboje przez chwilę.

— Kto niszczy przyczynę choroby, ten gubi chorobę. Jacku, ja rozstanę się z wami! — przerwała ciszę Maryja. Widziałam wzrastające przywiązanie Samsona, a zdało mi się, że to jest przywiązanie brata do siostry i byłam szczęśliwa, że pozyskała przyjaciela. Teraz widzę, że w piersiach jego rozwinęło się uczucie, które podsycane może się stać powodem jego niedoli. Muszę się jemu usunąć z przed oczów. Nie będę przy nim, nie będzie myślał o mnie, jakiś czas potęskni, a potem zapomni!

— Dokądże pójdziesz moja biedna?

— Czyż już zapomniał Jacku, coś prawil rok temu, gdyś mnie wyrwał z głębi rzeki? Wtenczas nie wierzyłam w miłosierdzie, dziś przyszedłam do przekonania, że są ludzie serdeczniejsi na świecie, więc odzyskałam straconą wiarę i mam nadzieję, że nie przepadnę.

— I ja mam tę nadzieję — powiedział, jakby w wyższym natchnieniu Jacek, potem ujawszy Maryję za rękę, dodał głosem smutnym: — więc jeśli sądzisz, że powinność nakazuje ci odejść z naszego zacisza, odejdz! Chętnieby cię tutaj zatrzymał, gdy nie mogę, zyczę ci z całego serca lepszej, jaśniejszej przyszłości, niżeli była przeszłość.

XXIII.

Bożę cialo! Święto uroczyste odchodzono w Polsce! Rynek Krakowa drżał od śpiewu księży, hymnów, modłów i strzałów.

Tłum nieprzebrany ludu zalegał miasto, chwiał się jak pole pstrych kwiatów, płynął, jak nurty strumienia, wiatr poruszał jedwabne wstęgi tysiąca chorągwi i igrał z rozpuszczonym włosem dziewcząt w bieli, okalających dokola zatep kaplanów w ornatach.

Samson śpiewał pieśń uroczystą, w której był zatopiony całą duszą.

Gdy procesja z miejsca ruszyła i on szedł popychany od tłoczącej go ciżby. Uszedł w ten sposób zaledwie sto kroków, gdy blizki krzyk, głośniejszy nad wszystkie śpiewy odbił się o jego uszy.

Wstrzymał się i rzucił wzrokiem przed siebie.

Młody mężczyzna dwudziestoletni, jasnych oczu i pięknej twarzy, przedzierał się do młodzieńkiej dziewczyny, do której go tłum zaledwie o kilka kroków przedzierał.

Dziewczyna zatoneła między ludźmi, jak w wodzie i tylko białe wznoszące się w górę, jak z topieli ramiona, znaczyły to miejsce, gdzie przepadła.

Rozszerzył ramiona, jakby w nie chciał kogoś pochwycić, przyparł się do ziemi i rozpierał barkami pierścien, który go owijał.

Krwia mu nabiegły żyły czoła, zacisnęły się zęby, posiniały usta, ale nie pomogło nadludzkie sił wyteżenie i tłum nie puszczał.

Wtedy właśnie była chwila, gdzie wyrwał się głośny, przerażający ryk z jego piersi.

Po kilku sekundach krzyknął powtórnie, a jeszcze głośniejszej, jeszcze rozpaczliwiej:

— Ratujcie ją, ratujcie!

Samson to widział i ścisnęło mu się dobre serce. Westchnął, zniżył się, zakręcił jednym ramieniem i roztrącił ludzi, zakręcił drugim i uzyskał dość miejsca do swobodnego ruchu. Potem szło już łatwiej. Piersiami i łokciami torował sobie drogę.

U BRODU

przez
Maurycego Montégut.

(Dokończenie).

W miarę wzrastającego światła, coraz bardziej ujawnia się niewysłowienie smutek, straszny stan nieszczęsnej garstki niedobitków. Noc osłania ich nędzę, teraz przypatrują się sobie z przerażeniem. Twarze mają kolor zielonawo ziemisty, pochyleni są, zgarbieni, jak przelamani. Kurz, błoto, brud wszelkiego rodzaju, który się ich czepił wśród tego nocnego marszu, przylgnął do nich, mieszając się z potem; czarno krwiste plamy szpecą poszarpane mundury, a większa część ma głowy, lub ręce poobwiązywane szmatami, wielu z tych, którzy upadli po drodze, są zabłoceni straszliwie, a wszystko to jęczy, trzęsie się pod prznickim zimnem poranku...

Nagle wódz woła: »Stój!«.

Ale uroczyisty głos jego brzmi tak smutno, że wszyscy drgnęli, przeczuwając nieszczęście.

Stońce wschodzi z obydwóch wybrzeży rzeki, która tu wartko się toczy, zakręt czyni, a po nad wodą sterczą czarne glazy. W miejscu tem miał być most...

Głębokie fale Mozelli płyną szorstko, korytem swem szerokiem. Rozbitki kupią się i patrzą. Z początku patrzą w niemem osłupieniu; następnie zaczynają się podnosić głosy dzikie, jak gdyby nieludzkie. Ci żołnierze, którzy przebyli tyle bitew w dzikiej rozpaczycy zgrzytają zębami, jęczą, krzyczą — szaleją z rozpaczycy! Jedni z przekleństwem ciskają w rzekę kamieniami, inni łamią karabiny i kładą się na wybrzeżu; inni jeszcze płaczą idiotycznym płaczem małych dzieci. Na stronie stoją oficerowie z pochylonemi bezsilnie głowami.

Jeden z dragonów zrzuca z siebie ubranie, rozbiera się do naga, i wszyscy myślą, że oszalał. On powoli wchodzi w wodę. Dwudziestu naśladuje go w tej chwili, lecz bystry prąd ich unosi. Toną, wyciągając ramiona, jak gdyby wzywali ratunku, ale nikt tego nie widzi, wszyscy teraz chcą wplaw przebyć rzekę. Wszyscy — ci nawet, którzy pływać nie umieją; nawet ranni, sił pozbawieni. Szal to zaraźliwy i woda chlupie, bryzga roztrącana przez rzucające się w nią ciała. Oficerowie wołają zakazując — proszą, błagają, ale nikt ich nie słucha. Razem zbitych w kupę bezładną ginie w falach rzeki stu ludzi. Trudno wiedzieć: azali to zuchwale próby przebycia rzeki, czy proste samohójstwa...

III.

W chwili tego śmiertelnego szalu zaszeleściły zarośla, stary wieśniak, z twarzą obrosłą, wyglądający prawie jak człowiek dziki, wysuwa się z lasu, wołając wielkim głosem: — Jest tu bród...

— Jest bród!

Wszyscy go słyszą, z ust do ust przebiega wieść: — Jest bród!

I oto ci zrozpaczeni, znów odzyskują odwagę, a prostoduszni, jak dzieci, nie myślą o szpiegach i o zasadzkach. Otoczono wieśniaka. Dowódca go bada:

— Skąd jesteś?

— Tutejszy... miejscowy.

— Ty szedłeś za nami przez las?

— Tak!

— Sam?

— Sam.

— Gdzie bród?

— O milę stąd, tam oto.

I wieśniak wskazuje przebytą już drogę.

— Więc przechodziliśmy koło niego?

— A tak!...

— Wiedziałeś, że most zniszczony?

— Wiedziałem.

— Dlaczegoż taki kawał drogi dozwoliłeś nam iść daremnie?

— Bo trzeba było.

— Jakto?

Stary uśmiechnął się chytrze i tłumaczy, że Prusacy ich ścigają i są już nie dalek, jak o trzy godziny drogi i że ślady, kończące się nagle u brodu, byłyby go wskazały tropiącym ich. Trzeba więc było koniecznic iść dalej, aby przy powrocie zmieszały się i zatary ślady stóp na błocie, wtedy Niemcy długo będą szukać, którądy się przechodzi na drugą stronę.

— Ach!... — woła dowódca, i prosi wieśniaka, aby ratował braci swych w nieszczęściu.

W godzinę później rozbitki przebywają rzekę, wzburzone fale dochodzą im do ramion. Dowódca, który ostatni brzeg opuścił, wyciąga dłoń do starca i mówi:

— Dziękujemy wam! ojcz...

— Bądźcie zdrowi! — odpowiada wieśniak, oddalając się zwolna.

Po drugiej stronie Mozelli formują się szeregi kolumny, i oddalają się, coraz malejąc na widnokręgu, aż wreszcie giną w mgłach.

Zapanowała znowu cisza.

Wzdłuż wybrzeża przez trawy zmoczone rosą stary wieśniak idzie zważym krokiem, ciągle zatrzymuje się szepcząc: A... już są...

Dwa szwadrony ułanów, z powiewającymi w porannym wietrze chorągiewkami, pędzą wyciągniętym klusem, zajmując całą szerokość drogi. Z pod kopyt koni bryzga tylko błoto, a stary wieśniak skurczył się i położył pod krzakami, ale już go spostrzeżono.

— Hej! ty tam, pójdz tu!

Otoczają go, potrącają, włoką przed oficerów. Rozpoczyna się badanie; ale stary stał się głuchym idiotą, nic nie rozumie, nic nie wie, nie widział nikogo.

— Szkoda czasu! — krzyknął wreszcie kapitan, — przemówi on tu zaraz... Idz naprzód! — rozkazuje starcowi.

Kulejący, zdyszany, lancami naglony biedak biegnie przed koni jak laufer. Naraz się potknął, ale padającego podnosi ostrze lancy. — Marsz, Francuzie! — krzyczą. — Vorwärts! I biedak zbiera siły i bieży tak czas jakiś, lecz nakoniec tchu mu brakuje, nogi uginają się pod nim, padnie lada chwila na ziemię. Prostuje się jednak, dźwiga, bo oto właśnie bród... Ale mijają go, kierując się za śladami. Dwieście kroków dalej starzec pada — bezsilny, biały, z piersią ciężko dyszącą.

— Jechać stępa! — komenderuje oficer — a ty stary naprzód!

Dociągają w ten sposób do ruin mostu na zawrocie Mozelli. Prusacy wiedzieli, że most tu nie istnieje, lecz tu właśnie zatrzymują się ślady; dalej na miękkim, błotnistym wybrzeżu nie widać najmniejszego znaku przejścia kolumny, jak gdyby Francuzi znikli nagle.

Niemcy osłupieli. Bród przecież nie mógł istnieć poniżej mostu! Oficerowie sztabowi sprzecają się gwałtownie. Na stronie stojący starzec słucha ich z głową spuszczoną.

— To był podstępny manewr... — odzywa się wreszcie jeden z pomiędzy oficerów. — Zbiegi cofnęli się z powrotem... Więc wracajmy i my.

Inny czyni uwagę, że teraz trudno już będzie rozpoznać jakiegokolwiek ślady, bo i oni przecież przeciągnęli już tędy, ale ten starzec musi przecież wiedzieć doskonale, gdzie tu się bród znajduje.

— Przekonamy się — huknął dowódzca. — Ruszaj w wodę, stary psie!...

Stary posłuszy im za sondę do zgłębiania rzeki. Wybrzeże ma tu spadek łagodny. Starzec z miną spokojną wchodzi w Mozellę. Idzie a fale dosięgają mu kolan, pasa, ramion, wznoszą się coraz wyżej.

— Wracaj! — woła dowódzca, poczem mówi do oficerów:

— I my zawrócimy, panowie, tu nie może być brodu, tu głębia...

Co sto metrów wpychają starca w wodę. Wzrok Prusaków pilnie go śledzi, widzą też za każdym razem, że starzec skoro tylko oddali się od brzegu, traci grunt pod stopami, fala go podrywa i ledwo może wrócić na brzeg, gdy nań krzykną, aby to uczynił.

IV.

Przy ciąglem powtarzaniu tych prób okrutnych, ku wielkiej ucieście ułanów, przybył nakoniec na miejsce, gdzie był bród i, niestety, zatrzymano się tu obecnie. Nędzny, przemokły, drżący starzec, którego obrosła twarz ma teraz wszystkie cechy dzikości, staje na głos krzyżący gromko: Halt!... Przeciwny brzeg jest zupełnie pusty, poranne słońce jasno go oświeca, ale stary wie, że Francuzi nie mogą być daleko... O! nie — a niemieccy ułani mają dobre konie...

— Do wody — krzyżą na starca.

— Już nie mogę!... — odpowiada.

— Tak. A gdzie bród?

— Nie wiem.

— Więc w wodę...

Uśluhał. W miarę, jak się posuwa, zgina się, aby sądzono, że rzeka staje się coraz głębszą, ale Niemcy dostrzegli kolano wystające z wody, i krzyk rozległ się na wybrzeżu. Wtedy wieśniak szepcze coś, jak pacierz poranny i przygina się coraz, coraz więcej — coraz głębiej zanurza się w tę wodę, która go zdradza, jak gdyby nie była francuska, i nie chce stać się głęboką. Ale on się coraz kurczy — maleje... Już jest w szemrzących jej toniach po ramiona i teraz obraca się, spogląda w tył na tych ludzi, co go tu pędzą, na wrogów swoich...

— Naprzód stary!... — wołają.

On posuwa się dalej, ale przykłęka już prawie i woda zachodzi mu aż do brody... Prusacy podejrzewając wciąż podstęp, krzyżą:

— Dalej! dalej, dalej stary...

Więc on dalej brnie. Pochyla głowę, jeszcze raz spojrzal za siebie... ale ułani się śmieją, wskazując mu rzekę.

Ponieważ ma twardy grunt pod stopami, potrzebuje tylko podnieść się, aby żyć, ale wzrok jego ogarnia teraz ziemię, niebo, słońce: wszystko, co znał i widział za dni życia dawnych. Nakoniec głowa zanurzyła się. Już go nie ma. Niemcy już go nie widzą.

Przestali się śmiać. — A!... utonął... — wołają.

— Bród jest gdzieś indziej — mówi dowódzca, i marszczy się, bo kto będzie mu teraz gruntował rzekę?

Niemcy naradzają się, a ciało starca bohatera unosi ze sobą fala świetlanych odbłyśków.

Przy łuczywie.

(Pewien znajomy naszej redakcyi przesłał nam następujący wiersz, o którym powiada, iż wyuczył się go na pamięć jeszcze w dawnych chłopięcych latach, — obecnie zaś wskutek aktualności tematu odgrzebał go z mroków przeszłości i spisaawszy go — przesyła nam do dyspozycyi,

z prośbą o zamieszczenie w naszym piśmie. Ponieważ wiersz ten można dobrze odnieść do chwili obecnej, wobec tego spełniamy prośbę. Wiersz ten podobno był drukowany w »Strzesze«. Red.).

— Ej matulu, ja się boję!

— A czegoś to dziecię moje!

— Bo gdym wczoraj o tej porze,

Był za świtem, tam we dworze,

To słyszałem, jak panowie

Powiadali w swej rozmowie,

Że na wicsnę, to najdalej,

Przyjdą jacyś to Moskale,

Ludożercy, wilkołaki,

Co wygubią stwór wszelaki.

— O! strach próżny cię owłada,

Albo Moskal ludzi zjada?

— Toć ja tego nie wiem wcale —

Ale wy m-tulu wiecie,

To powiedzcież mi raz przecie,

Co to właśnie są Moskale

I skąd biorą się na świecie?

Czy się lęgną? czy się rodzą?

Czy jak my po ziemi chodzą?

Czy jak wilcy, lubią jary?

Czy to wodne są poczwary?

Czy skrzydlate o łbach wielu,

Jak smok niegdyś na Wawelu?

Bo koniecznie mi się zdaje,

Że to przecież jakieś dziwa,

Bo i dziad mój kiedy łąje,

To Moskałem mnie przeżywa.

— Co ty pleciesz jak w obłędzie?

Wszak to ludzie są Wojtulu,

Tacy sami jak i wszędzie.

— Ej to chyba żart matulu,

Bo mówili tam we dworze,

Że to jakaś dzicz nieboże.

Co morduje, niszczy, pali

Wzbrania mowy, nawet wiary

A jakieś tam swoje cary,

Jak samego Boga chwali,

I takiej wy paskudzie,

Powiadacie że to ludzie?

Nie matulu, to poczwary!

— Ha toć prawda, z woli nieba,

Takie smutne nasze losy.

Lecz czyż przeto, bać się trzeba?

Bojaźń, wilka nie odgoni,

Na to mamy dłoń i kosy!

A kto wiary swojej świętej,

Kto Ojczyzny swej, nie broni

Do ostatniej, krwi kropelki,

Ten mój synu zbrodzień wielki.

Ten będzie przeklęty!

— Ot to mądrość w waszej mowie,

Teraz już mi świta w głowie

Teraz nie wiem już co trwoga,

I gdy tylko z łaski Boga

Drażek w ręku już podniosę

To nastalę sobie kosę,

I niech wtedy rój Moskali,

Niech się piekło na nas zwali —

Wasz syn matko się nie zleknie.

— Tak me dziecie, tak to pięknie,

A jak przyjdą już Moskale

Sama kosę ci nastalę —



Rosyjskie siostry miłosierdzia biorą udział w pogrzebie rosyjskiego lekarza w Łodzi.



Jeniec angielski pisze z pomocą sióstr niemieckich list do swej rodziny.

Wieści z wygnania.

Kisujszallas (Węgry). Staraniem kolejarzy polskich żyjących tutaj gromadnie od szeregu miesięcy w t. zw. pogotowiu służbowem powstał z drobnych składek obraz Małki Boskiej Częstochowskiej półtora metra wysoki, przeznaczony dla tutejszego biednego rzymsko-kał. kościółka.

Poświęcenie obrazu odbyło się uroczystości dnia 28 marca b. r. przez księży Jezuitów z Chyrowa wobec wielkiej masy Polaków i Madiarów. Obraz pozostanie pamiątką naszej kultury i głębokiej wiary w tak ciężkim i smutnym czasie tułaczki wojennej funkcyjaryuszy kolejowych.

Obraz ten malował pan Robert Kapa, rodem z Tarnowa, był słuchacz akademii sztuk pięknych w Wiedniu, obecnie asystent c. k. kolei państw. dyrekcyi lwowskiej i urzędnik ruchu z Podwołoczysk.

Pan Kapa, młody, bardzo utalentowany i zdolny urzędnik, znany działacz wszystkich oświatowych towarzystw polskich w Wiedniu, potem Tarnopolu a

wreszcie w Podwołoczyskach, przez dobrowolnie i zupełnie bezinteresowne wymalowanie tego ślicznego

obrazu „Królowej Polskiej” wykazał swój niepośledni talent również jako malarz. Aczkolwiek nie skończony artysta i fachowy malarz dewocyjów, pokazał i przekonał nas wszystkich co wola i energia zdziałać mogą, choć często przykre warunki przeszkadzają. Obraz jest piękny olejno na płótnie wykonany, utrzymany w harmonii z oryginalnym z Jasnej Góry, a że stał się sensacją kolonii naszej i Węgrów świadczy fakt, że na „ciemną teraz” Bogarodziny ze „szramami” na twarzy zjeżdżają patrzeć Węgrzy nawet z Karczagu.

Nad nim umieszczono ozdobny karnisz z orłem polskim i napisem „Królowo korony polskiej módl się za nami”. Pod obrazem zaś umieszczono tablicę ręcznie przez p. Kapę w dwu językach wykonaną:

1914 — 1915 Królowej Swojej Świętej w hołdzie polscy kolejarze. Lengyel Vasútasok Ajándéka Egi Királynéjnek tiszteletére 1914—1915



Obraz M. Boskiej Częstoch. po poświęc. wystawiony przed bramą kościoła dla wspólnej fotogr., przed obrazem w mundurze asystent kol. malarz p. Robert Kapa. (Fot. naszego koresp.)



Asystent kolejowy p. Kapa w atelier na plebanii rzymsko-katolickiej w Kisujszallas przy pracy.

(Fot. naszego koresp.)



Obraz w kościele przed poświęceniem.

(Fot. naszego koresp.)

W środku artysta pan Robert Kapa, z drugiej strony ksiądz Sandor Imre, proboszcz i wielki przyjaciel Polaków

Humor.

— Panie Ludwiku! co to znaczy, że pan taki małowówny, dzisiaj rozgadałeś się pomiędzy nami?

— Proszę pani dobrodziejki. ja się zawsze trzymam przysłowia: „Kiedy wejdiesz między wrony, musisz krakać jak i ony.“

* * *

Michał: Tyś znów 3 dni siedział; za co to?

Marcin: Ponieważ kręciłem głową.

Michał: To niepodobna, za to przecież nikogo do kozy nie wsadzą.

Marcin: Widzisz... ale to nie była moja głowa.

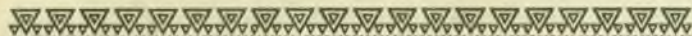
* * *

W Czerniowcach jest kościół katolicki i protestancki, które stoją naprzeciw siebie.

Przed kościołem protestanckim stoi posąg św. Jana zwrócony w stronę kościoła protestanckiego. Pastor protestancki spotyka się na rannej przechadzce z proboszczem rzymsko-katolickim i wszczyna z nim rozmowę w ten sposób:

— Panie kolego, pański św. Jan zagląda mi za wiele do mojego kościoła, trzeba będzie coś z tem zrobić...

— Dobrze odpowiada tamten — każemy go obrócić, to pan kolega jemu będzie zaglądać.



Inserować

należy tylko w tych pismach, które ze względu na ich wielki nakład, przynoszą korzystny rezultat. Jeżeli się inseruje

W ILUSTROWANYM
PRZEGLĄDZIE
TYGODNIOWYM

wychodzącym w 14.000 egz, apeluje się temsamem do największego okręgu przemysłowego. Nie

potrzeba więc

ogłaszać w innych pismach i narażać się na niepotrzebne wydatki, gdyż pismo nasze stoi tak pod względem nakładu, jakoteż i wyposażenia na pierwszym miejscu. Wystarczy zainserować

raz jeden tylko
aby się przekonać o
korzystnym rezultacie

i w przyszłości stale u nas inserować. Numera próbne, oraz obliczenia załatwia się bezzwłocznie.

NAJLEPSZA POLSKA MAPA
TERENU WOJNY

w trzecim wydaniu, znacznie ulepszonem, obejmująca cały teren obecnej wojny, od morza bałtyckiego po Węgry, od Śląska po Bukowinę, w 4 kolorach, bardzo przejrzysta, format 63x85 cm, w teczce K 1'50
Felański, Mapa Europy, kolorowe 1' -
Rozmówki polsko-niemieckie w życiu prakt. „ - 60
Kermel i Kotas, samouczek języka niemieckiego „ 2'50
Samouczki techniczne, 11 zeszytów, 160 ilustr. „ 2'65
Wł. Sulima Popiel. Krwią i łzami, nowela z Legion. „ 1'20
Do pamiętnika, wybór najpiękniejszych wierszy „ 1'20
Kalendarz narodowy, okładka z orłem polskim „ - 40
Wł. Jeziorski, śpiewnik narod., tekst 40 h, moty „ 1'50

Do nabycia:

W KSIĘGARNI „STELLA“ W CIESZYNIE.

Cenniki darmo i oplatnie.

Restauracja „Silesia“

w Polskiej Ostrawie, za mostem

poleca piwo budziejowickie, pilzneńskie, wina naturalne, oraz ciepłe i zimne przekąski.

O liczne uczęszczanie prosi **Karl Sliz.**

WAŻNE KSIĄŻKI DLA POLAKÓW!

do nabycia w księgarni

L. Buchsbauma w Przywozie (Oderfurt)

obok Morawskiej Ostrawy.

Polsko-niemieckie rozmowy (konwersacje). Zestawił Prof. Hecher. Niezbędny podręcznik dla Polaków przebywających w niemieckich okolicach. K 2'40, z przesyłką K 2'70

Słowniczek polsko-niemiecki i niemiecko-polski obejmuje najpotrzebniejsze wyrazy polskie w niemieckim tłumaczeniu i naodwrot. Zestawił J. Plus. Stron 1400 małego formatu. Książka ta jest koniecznie potrzebną każdemu, kto się chce dobrze po niemiecku nauczyć. Obejmuje podług abecadła w pierwszej części po jednej stronie słowa polskie i zaraz obok toż samo po niemiecku; zaś w drugiej części słowa niemieckie i zaraz obok toż samo po polsku. Cena z oprawą K 3, z przesyłką K 3'30.

Polak uczyć się po niemiecku. Praktyczny przewodnik, który podaje wskazówki rozmowy i nauki, aby w krótkim czasie można czytać, rozumieć i mówić po niemiecku. Opracował Józef Chociszewski, z opr. K 1'30, z przesyłką K 1'60

Mapa terenu wojny. Druk w 5-ciu kolorach, format 65 x 85 cm.: 1) Austrii i Niemiec K 1'80, z przesyłką K 2'10; 2) Mapa wojny Europejskiej K 1, z przesyłką K 1'20.

Samouczek rachunkowy czyli dokładna nauka rachunków bez pomocy nauczyciela dla osób wszystkich stanów i zawodów. Obejmuje całkowitą naukę rachunków od rzeczy najłatwiejszych do najtrudniejszych, ułożoną w sposób zrozumiały i jasny 500 przykładów z rozwiązaniem K 4, z przesyłką K 4'30.

Książki do nabożeństwa. Tanie i dobre książki do nabożeństwa dla katolików w bardzo pięknych oprawach. W różnych cenach.

Przy drobnych zamówieniach należy odnośną kwotę nadsyłać na przód. Większe zamówienia odsyłam za pobraniem pocztowym. J. BUCHSBAUM, księgarnia wysyłkowa w Przywozie (Oderfurt) obok Mor. Ostrawy.